

RAFAŁ DROZDOWSKI

## PROMODERNIZACYJNA MISJA UNIwersYTETU\*

Chcę zacząć od tezy, która – jak się domyślam – wydać się może kontrowersyjna lub zgoła nieprawdziwa, lecz której ja sam skłonny byłbym bronić. Otóż wydaje mi się, że można już dzisiaj (po ponad dwudziestu latach od rozpoczęcia transformacji) powiedzieć, że społeczeństwo i państwo polskie osiągnęły wszystkie najważniejsze cele strategiczne rozpoczętego w 1989 r. procesu gruntownej przebudowy systemu. Polska jest członkiem NATO i Unii Europejskiej. Mimo setek, a może tysięcy zastrzeżeń, jakie żywić można wobec polskiego życia gospodarczego, udało nam się zbudować prawdziwą gospodarkę rynkową. Mimo niezliczonych wad i słabości polskiej sceny politycznej i ramy instytucjonalnej państwa, żyjemy w realnej demokracji. Mimo licznych utyskiwań na słabość społeczeństwa obywatelskiego w Polsce, jesteśmy coraz bardziej obywatelscy.

Jeśliby więc przyjąć, że celem zapoczątkowanej w 1989 r. transformacji ustrojowej było urzeczywistnienie pewnego projektu modernizacyjnego, który można upraszczająco określić jako przejście od „realnego socjalizmu” do „realnego kapitalizmu”, to możemy chyba bez większych wątpliwości powiedzieć, że cel ten udało się nam osiągnąć. Oczywiście w wielu miejscach koszty tego przejścia okazały się większe, niż zakładano, a wiele jego rezultatów przyjmujemy – delikatnie mówiąc – z mieszanymi uczuciami. Fakt jednak pozostaje faktem: pierwsza faza „posocjalistycznej modernizacji”, z grubsza rzecz biorąc, nam się powiodła.

Co zatem dalej? W skrócie mówiąc, tym co nas teraz czeka, jest konieczność dokonania drugiego skoku modernizacyjnego. Tym razem stawką, o jaką toczy się gra, jest wejście Polski do europejskiego i światowego „rdzenia” i uniknięcie groźby pozostawania (być może przez całe dziesięciolecia) państwem półperyferyjnym.

Chciałbym zatem skupić swoją uwagę (wyłącznie) na tym, co może nam w realizacji tego celu przeszkodzić.

Po pierwsze, właściwie wszyscy socjologowie są zgodni co do tego, że potężną barierą rozwojową Polski był (i jest nadal) nasilający się proces, który można określić mianem erozji myślenia w kategoriach dobra wspólnego. Można i pewnie warto zastanawiać się nad tym, czy przyczyną rozmaitych przejawów ekspansywnego indywidualizmu, partykularyzmu i prywatyzmu jest na przykład potrzeba odreagowania przez Polaków narzucanego im przez

---

\* Wykład inauguracyjny wygłoszony 3 października 2011 r. w czasie inauguracji roku akademickiego 2011/2012 na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu.

lata kolektywizmu, czy też jesteśmy „przymusowymi indywidualistami” i musimy radzić sobie w wielu sytuacjach sami ze względu na słabość państwa, które nie dość, że jest słabe, to jeszcze – gdzie tylko się da – stara się „wyplątać” z wielu swoich wcześniejszych zobowiązań wobec obywateli? Zapewne obie zasugerowane wyżej odpowiedzi winniśmy uznać za trafne. Zapewne nie wyczerpują one jednak wszystkich możliwych socjologicznych wyjaśnień swoistej prywatyzacji społeczeństwa polskiego.

Następną, chyba niedocenianą i nie dość często wspomnianą barierą blokującą dalszą modernizację Polski, jest wciąż bardzo niski w społeczeństwie polskim poziom etyki codzienności. Jeśli poproszono by mnie o doprecyzowanie tego terminu, sięgnąłbym po przykłady. I zacząłbym mówić o kierowcach wyprzedzających „na trzeciego”, o „ściągających” na egzaminach studentach lub o doradcach fiskalnych prześcigających się w wymyślaniu coraz to nowych – jak to się określa w żargonie biznesowym – „tarcz podatkowych”.

Zdań kilka na temat trzeciej bariery modernizacyjnej, również – jak się wydaje – niebezpiecznej, jak dwie poprzednie. Zaryzykuję opinię, że wielu Polaków wciąż żywi tęsknotę za „niekapitalistycznym kapitalizmem”, który – z jednej strony – oferuje wszystkie uroki „kolorowej gospodarki rynkowej”, lecz z drugiej – pozostawia możliwość „przechowania się” w jakiejś quasi-rynkowej, półrynkowej lub ćwierćrynkowej niszy. W gruncie rzeczy chodzi o to, co nieżyjący już wybitny polski socjolog Edmund Mokrzycki nazwał przed laty dążeniem do bycia beneficjentem „miękkiego finansowania”. Owo „miękkie finansowanie” to nic innego, jak oczekiwanie na pieniądze, które nie są powiązane (lub są powiązane bardzo luźno) z tym, co w terminologii socjologicznej jest – niezbyt skądinąd ładnie – określane mianem „logiki efektywnościowo-rynkowej”.

Oczywiście zawsze były, są i zapewne będą istnieć również w przyszłości takie grupy społeczno-zawodowe, które nie powinny być skazywane na werdykty niewidzialnej (i częstokroć „ślepej”) ręki rynku. Łatwo się domyślić, że wśród takich grup wymienia się na przykład rolników, ale także artystów, ludzi nauki, nauczycieli. Nie sposób nie zgodzić się z tym, że wspomniane grupy są specyficzne, że nie można ich pracy mechanicznie i na siłę urynkawiać. Trudno jednak oprzeć się wrażeniu, że strategii wielu grup domagających się wyłączenia spod władzy rynku przypominają dziś dość często postawę, którą Marek Ziółkowski określił niegdyś mianem „roszczeniowości uprzywilejowanych”.

Nasuwa się zatem mnóstwo pytań: kiedy owa „roszczeniowość uprzywilejowanych” jest zasadna, kiedy nie? Jakie są jej granice i kto ma je wyznaczać? Jakie niesie ona ze sobą zagrożenia i jak im przeciwdziałać?

Czwartą poważną barierę utrudniającą dokonanie kolejnego „skoku modernizacyjnego” można określić następująco: sposoby radzenia sobie społeczeństwa polskiego z rzeczywistością są wciąż bardziej taktyczne niż strategiczne. Z jednej strony socjologowie dość zgodnie stwierdzają, że społeczeństwo polskie staje się z roku na rok coraz bardziej aktywne. Zarazem jednak wyniki licznych badań socjologicznych wskazują, że ta aktywność nosi w znacznej mierze znamiona aktywności obronnej lub ma charakter reaktywny, że Polacy wciąż raczej reagują na zadany im

porządek, niż go aktywnie współtworzą i zmieniają. Dominującym „stylem adaptacyjnym” Polaków jest więc w dalszym ciągu raczej wyczekiwanie na (jakieś) ekstraszanse i okazje, niż postawa polegająca na ich aktywnym wyszukiwaniu bądź „prowokowaniu”. Podejmowane działania wciąż dość rzadko oparte są na pozytywnych i długofalowych kalkulacjach czy na zaufaniu (do innych, do nowego porządku instytucjonalnego).

Długo można by mówić o powodach tego stanu rzeczy. Niewątpliwie za ów taktyczny, reaktywny i w znacznej mierze obronny charakter podejmowanych przez Polaków aktywności winić trzeba zarówno nie dość sprawnie funkcjonujące i „rozkołysane” państwo, jak i – mimo wszystko – nas samych, samo społeczeństwo, któremu częstokroć brakuje odwagi i wyobraźni adaptacyjnej, które trochę boi się marzyć i które chwilami sprawia wrażenie, jakby nie do końca wierzyło we własną podmiotowość i we własną siłę sprawczą.

Ostatnia, piąta bariera modernizacyjna, o której chciałbym tu wspomnieć, wiąże się z edukacją. Od pewnego czasu dużo się mówi w Polsce (i bardzo dobrze) na temat społeczeństwa wiedzy. Że trzeba je budować, że społeczeństwo wiedzy jest społeczeństwem przyszłości itd. Zaryzykuję jednak pogląd, że społeczeństwo polskie jest wciąż jeszcze społeczeństwem (nie)wiedzy, niż społeczeństwem wiedzy.

Nie trzeba przypominać, że dwudziestolecie polskiej transformacji systemowej to także okres niespotykanego nigdy wcześniej w naszej historii społecznej boomu edukacyjnego. Pod koniec lat 80. poprzedniego wieku mieliśmy w Polsce niewiele ponad 400 tysięcy studentów. W szczytowym okresie wspomnianego boomu na ponad 420 uczelniach (dodam: to cztery razy więcej niż w 1990 r.) mogliśmy doliczyć się około dwóch milionów studiujących. Tak zwane wskaźniki skolaryzacji prezentują się zatem znakomicie. Obawiam się jednak, że tak wysokie wskaźniki skolaryzacji ucieszyć mogą tylko statystyków.

Wszyscy wiemy bowiem doskonale, że od dobrych kilku lat mamy w Polsce do czynienia ze zjawiskiem „inflacji dyplomów”. Niepokojąco rośnie liczba absolwentów uczelni i kierunków, którzy nie są w stanie znaleźć pracy w swoim zawodzie. Gospodarka polska nie otrzymuje więc od uczelni kadr, na które rzeczywiście czeka. Wzrasta też z roku na rok – co również pokazują badania prowadzone przez socjologów – liczba absolwentów studiów wyższych, którzy żywią przekonanie, że studiowanie okazało się – przynajmniej w ich przypadku – nieopłacalną inwestycją. Są i inne powody do niepokoju. Wzrost liczby studiujących podnosi niewątpliwie dostępność studiów, ale niekoniecznie prowadzi do polepszenia komfortu studiowania. Wzrost liczby szkół wyższych niekoniecznie przekłada się na lepsze dopasowanie „ofert dydaktycznych” do potrzeb rynku pracy. W rezultacie na naszych oczach „rozpada się” nie tylko szacunek społeczny do (wyższego) wykształcenia, ale również szacunek społeczny do uczelni – jako miejsca i jako instytucji.

Najwyższa pora na kluczowe tu dla mnie pytanie: czy i w jaki sposób uniwersytet może (powinien) wspierać dalszą modernizację Polski, na której tak bardzo nam wszystkim zależy? Albo,

pytając o to samo nieco inaczej: czy uniwersytet – pełniąc swą (tradycyjnie i mniej tradycyjnie rozumianą) misję – jest w stanie przyczynić się do przełamania niektórych przynajmniej barier rozwojowych, o których była tu wcześniej mowa? Mam szczerą nadzieję, że tak.

Zacznę od kwestii najbardziej oczywistej i chyba najmniej spornej. Jeśli obawiamy się dzisiaj (i słusznie) „inflacji dyplomów”, utraty prestiżu nauki i swoistej „reputacyjnej przeceny” szkolnictwa wyższego w oczach społeczeństwa, winniśmy uznać, że to właśnie na barkach uniwersytetów spocząć musi odpowiedzialność za zachowanie i podnoszenie standardów kształcenia. Nie wystarczy już przy tym, by uniwersytety były najlepszymi krajowymi/lokalnymi uczelniami. Uniwersytety muszą wziąć sobie do serca *bon mot* jeszcze jednego wielkiego polskiego socjologa, Stefana Nowaka, który powiedział kiedyś (dość krytycznie oceniając polską socjologię na tle socjologii światowej): „nie ma standardów krajowych, wojewódzkich czy powiatowych, jest tylko jeden standard: standard światowy”. Jeśli Stefan Nowak miał rację (a chyba miał) układem porównawczego odniesienia muszą być dla nas ci, którzy są najlepsi w skali globalnej, nie zaś w skali lokalnej. To trudne i z trudem przecierające sobie drogę myślenie. Ale to zarazem dobre i pouczające dla wszystkich bez wyjątku obywateli postawienie sprawy: jeśli Polska ma się rozwijać, musimy wszyscy nauczyć się grać o najwyższe stawki, a nie o nagrody pocieszenia.

Na barkach uniwersytetów spocząć musi również odpowiedzialność za wypracowanie skuteczniejszych niż dotąd mechanizmów „transferu wiedzy do gospodarki”. Wiedza, której nie potrzebuje gospodarka, siłą rzeczy nie jest w rynkowej rzeczywistości wysoko ceniona. Może to się nam nie podobać, możemy (a zapewne i powinniśmy) sprzeciwiać się naciskom mającym na celu zbyt wąsko pojętą utylitaryzację nauki. Nie zmieni to wszakże potocznych wyobrażeń o naszych (naukowców) zobowiązaniach wobec innych dziedzin życia; będziemy tym bardziej doceniani, im bardziej spektakularny i nie dający się podważyć będzie nasz wkład w ekonomiczny rozwój kraju.

O tym, że zadaniem, a wręcz obowiązkiem uniwersytetu jest dziś mozolna praca na rzecz dowartościowania wiedzy i że najłatwiej to uczynić udowadniając, że „wytwarzana” w murach uczelni wiedza ma szansę szybko znaleźć zastosowanie w gospodarce, wiemy już od dawna. Dlatego miałbym ochotę dopowiedzieć, że równie istotnym, równie dobrym sposobem dowartościowywania wiedzy akademickiej powinny stać się nasze starania, by lepiej niż do tej pory udawał nam się transfer wiedzy do społeczeństwa.

Gwoli jasności – nie mam w tym momencie na myśli czysto dydaktycznych zadań uniwersytetu. Chodzi mi raczej o to, że jeszcze jedną miarą wartości wiedzy, którą staramy się „wytwarzać” w murach uniwersyteckich, jest jej użyteczność na przykład dla organizacji pozarządowych, dla samorządowców, dla animatorów społeczeństwa obywatelskiego i koniec końców – dla wszystkich, którzy chcą zmienić coś na lepsze, choćby tylko w swoim najbliższym otoczeniu: w swoim domu, na swojej ulicy, w swoim miejscu pracy.

Słowem – będzie nam łatwiej bronić prestiżu nauki, jeśli uda się nam przekonać wszystkich, którzy nam się przypatrują (nie zawsze przecież życzliwie), że to, co robimy, ma sens ekonomiczny. Że robiąc to, co robimy,

przyczyniamy się do formowania się lepszej, jak to się dziś mówi – bardziej konkurencyjnej gospodarki. Podejrzewam jednak, że jeszcze łatwiej uda się nam obronić (podnieść) prestiż nauki wówczas, gdy to, co robimy jako naukowcy, będzie – częściej niż do tej pory – postrzegane jako wiedza, która najzwyczajniej mówiąc pomaga społeczeństwu zmieniać się na lepsze – na bardziej pomysłowe, bardziej autonomiczne, bardziej refleksyjne, bardziej kreatywnie i pewnie bardziej wymagające wobec polityków, mediów, swoich samorządowych reprezentantów, a pewnie i wobec nas, ludzi nauki.

Pozwoliłem sobie zaryzykować tu tezę, że wciąż mamy trochę za bardzo taktyczne społeczeństwo, które raczej „wyczekuje na okazje”, niż samo stwarza sobie możliwości i które zaabsorbowane koniecznością mozolnej walki o „dziś nie gorsze od wczoraj” kalkuluje i planuje w dość krótkiej perspektywie temporalnej. Wydaje się niestety, że nasza klasa polityczna również jest – jak dotąd – w swoim myśleniu i w swoim postępowaniu bardziej taktyczna niż strategiczna.

Być może zatem właśnie na uniwersytetach spocząć musi odpowiedzialność za refleksję strategiczną, za strategiczne, długofalowe planowanie i za wszelkie badania, które na pewno nie okażą się praktycznie użyteczne ani dziś, ani jutro, lecz o których znaczeniu (społecznym, kulturowym, ekonomicznym, cywilizacyjnym) przekonamy się – być może – za lat dziesięć, dwadzieścia lub jeszcze później.

Uniwersytet jest z natury rzeczy „strukturą długiego trwania”. Można powiedzieć, że „czas uniwersytecki” nie pokrywa się z „czasem społecznym”, ani tym bardziej z żadnymi „kalendarzami politycznymi”. Po pierwsze – „czas uniwersytecki” płynie chyba wolniej (co nawiasem mówiąc bywa dla nas, „ludzi uniwersytetu”, w pewnych sytuacjach dość frustrujące). Po drugie i ważniejsze – „czas uniwersytecki” operuje dłuższą perspektywą, niż „czas społeczny” i „czas polityczny”.

Wszystko więc w sumie jest jasne: jeśli uniwersytet jest jednym z niewielu miejsc, które mogą sobie pozwolić na ten swoisty komfort, jakim jest cierpliwość i zajmowanie się bardziej odległą przyszłością, winniśmy wziąć to zadanie na nasze barki.

Starając się wskazać najważniejsze i potencjalnie najbardziej niebezpieczne bariery rozwojowe Polski, uznałem za jedną z takich barier tendencję do swoistej „prywatyzacji społeczeństwa”, skutkującą między innymi całym spektrum niepokojących zjawisk nazwanych przeze mnie erozją gotowości do myślenia i działania na rzecz dobra wspólnego. Może jestem naiwny, jednak głęboko wierzę, że uniwersytet może okazać się dla całego społeczeństwa pozytywnym przykładem nowoczesnej wspólnoty, która i owszem – zobowiązuje, ale do kreatywności, do autonomii, do intelektualnego nonkonformizmu i do permanentnej transgresji poza zastane schematy. Wierzę też, że uniwersytet (rozumiany jako specyficzne miejsce i jako specyficzna instytucja) może okazać się doskonałym przykładem opłacalności (także indywidualnej) tego, co socjologowie nazywają strategiami kooperacyjnymi. Ostatecznie większość z tego, co robimy tu, na uczelni, jest bowiem jakąś formą, jakąś postacią kooperacji, w której moje jest wkładem w nasze i w której nasze w jakiś

magiczny sposób okazuje się być czymś więcej niż prostą sumą indywidualnych wkładów w owo nasze.

Niech mi będzie wolno jeszcze przez moment pozostać przy kwestii ewentualnej roli, jaką dzisiejszy i jutrzejszy uniwersytet odgrywać powinien w procesie wspierania kreatywnych i innowacyjnych postaw społecznych.

Jest jasne, że innowacyjność i kreatywność stanowią niejako „statutowe zadania” uniwersytetu. Jest jasne, że uniwersytet z natury rzeczy powinien być miejscem, w którym kreatywność i innowacyjność są tak samo oczywiste, jak statki w porcie lub pieniądze w banku. Socjologowie dość dawno temu zauważyli jednak, że ów efekt, który nazywamy kreatywnością czy innowacyjnością, nie zależy wyłącznie od indywidualnych talentów, ale także od wielu innych czynników, na przykład od klimatu społecznego czy wzorów organizacyjnych. Łatwiej o kreatywność w społecznościach, które potrafią być życzliwą publicznością dla każdego, kto ma coś interesującego do powiedzenia, które potrafią ośmielić swą otwartością i które działają na podobieństwo sieci, tym bardziej twórczej, im gęstszej, im bardziej elastycznej i im bardziej rozdyktowanej.

Być może więc uniwersytet, chcąc wspierać dalszą modernizację kraju, chcąc się aktywnie w ten proces włączyć, powinien uznać, że to na nim właśnie spocząć musi zadanie szukania (i sprawdzania „na własnej skórze”) takich form organizacyjnych, takich wzorów działania, takich „stylów współpracy”, które uwalniają kreatywność, które ośmielają do kreatywności. Jeśli działając w sieciach, jesteśmy bardziej kreatywni niż wówczas, gdy działamy w mniejszej bądź większej izolacji, niech uniwersytety zaczną przypominać sieci. Jeśli rzeczywiście tak ważne dla kreatywności są rozmaite życzliwe widownie, niech uniwersytety podejmą się tej roli – i to w dodatku wobec wszystkich, którzy takich życzliwych widowni, życzliwych publiczności potrzebują. Jeśli rzeczywiście kreatywność wymaga akceptowania ryzyka, a nawet popełnionych w dobrej wierze błędów – niechaj uniwersytet będzie przykładem takiej odwagi.

Możemy być i zapewne jesteśmy innowacyjni jako badacze. Ale możemy i powinniśmy być także – dla wszystkich, również biznesu, instytucji publicznych, dla organizacji pozarządowych – wzorcem innowacyjnej, kreatywnej organizacji, która ucząc innych, nieprzerwanie uczy się sama i która nie jest z siebie nigdy w pełni zadowolona.

*prof. dr hab. Rafał Drozdowski*

*Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu*